

Marolambo, dnia 22 kwietnia 1984 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Nie zdziwcie się, że na kopercie znajdziecie pieczętkę z Tamatawy albo z Antananarivo, gdyż moje listy wrzucę z pewnością gdzieś bliżej lotniska w Mahanoro, w mieście biskupim lub w stolicy. Przed zaklejeniem koperty dopiszę wrażenia z podróży do stolicy. Zresztą już zauważyliście czytając poprzedni list wspólny, że ma datę dużo wcześniejszą od mojego listu osobistego dla poszczególnych moich Korespondentów. Dzieje się tak dlatego, że postanowiłem używać powielacza i jedynie na pozostawionym miejscu wolnym dopisuję list „prywatny”, wręczając do maszyny papier prawie cały zapisany. Większość moich listów otrzymacie wtedy, gdy ja będę jeździł po Europie.

Ale już przechodzę do opisu najciekawszych zdarzeń. W Sylwestra Mszę Świętą dziękczynną odprawiliśmy rano i po nabożeństwie w kościele Rada Parafialna przysłała do nas na misję, aby złożyć życzenia noworoczne wraz z kurą. Kurę zjedliśmy wieczorem podczas kolacji wraz z gośćmi. Wtedy dopiero połamaliśmy się opłatkiem przysłanym nam w listach. W Wigilię Bożego Narodzenia każdy z nas przebywał sam wśród Malgasy. Dnia 27 grudnia po nieudanej podróży do Ambinanindrano nie mieliśmy już sił, aby myśleć o wigilijnej wieczerzy. Czego nie udało się dokonać nam, zrobił O. Franciszek przyjeżdżając samochodem z Ambinanindrano do Marolambo dnia 30 grudnia. Z samochodu wysiedli również komendanci harcerzy i harcerki prowincji Tamatawy i do tej organizacji katolickiej należał Stary Rok 1983 i Nowy Rok 1984. Wieczorem harcerze i harcerki urządzili wspólne ognisko spalając kilka starych opon samochodowych obok kościoła. Zabawy harcerzy trwały bardzo długo. W rodzinach tańczono i śpiewano aż do rana, co trochę przeszkadzało nam spać. Nie czekaliśmy północy. W Nowy Rok, po raz pierwszy w Marolambo, podczas Mszy Świętej, po Komunii Świętej, harcerze i harcerki złożyli przysięgę na wierność Bogu, Kościołowi i Ojczyźnie. Od tej pory harcerze z Marolambo mają prawo nosić legalnie odpowiednie odznaki i uniformy, na zrobienie których zostały przysłane pieniądze z Austrii. Po błogosławieństwie młodzież dokończyła obrzędów na powietrzu przy kościele. Święto trwało jeszcze następnego dnia. Dopiero poniedziałkowy wspólny obiad zakończył historyczną uroczystość. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że harcerki uszyły sobie niewłaściwy strój złożony z bluzeczki i spódniczki, a powinna być jednoczęściowa suknia. Teraz trzeba będzie dać każdej materiał na prawidłowy strój. Dwuczęściowy obecny będą używały podczas Świąt mniejszej rangi. Hańba naszemu informatorowi!!!

W poniedziałek O. Franciszek powrócił do Ambinanindrano wraz z szefami skautów, aby w sąsiedniej misji mieszkańcy przeżyli takie same radości. O. Jan przygotowywał się do bardzo długiego obchodu misyjnego, a ja przez cały styczeń pozostałem w domu. Jedynie w pierwszą niedzielę odprawiłem Mszę Świętą w wiosce „Przy Świętym Kamieniu”, aby przypomnieć się tam chrześcijanom. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dowiedziałem się, że niektórzy katolicy przez cały rok nie uczestniczyli we Mszy Świętej, chociaż do jednej wioski mają niecałe dwa kilometry, do drugiej tylko przejazd pirogą, czego się nie boją. Ale nie wiedziałem, że Malgasz nie idzie do sąsiedniej wspólnoty czy wioski, o ile nie jest zaproszonym. Ze mną szła młodzież nawet całe 9 km nocując w wiosce, w której ja odprawiłem Mszę Świętą. Do bliższych wiosek nieraz szli niemal wszyscy, ale nigdy nie sami i nigdy bez zaproszenia „gospodarzy”. Towarzysząca mi młodzież wieczorem i przed Mszą Świętą uczyła nowych pieśni i w ten sposób bardzo mi pomagała. W małych wspólnotach nieraz ludzie nie są zdolni sami śpiewać podczas Mszy Świętej. Uważam za swój osobisty sukces przejechanie tam i z powrotem tych 17 km drogi bardzo śliskiej i pełnej dziur wypełnionych błotem aż po osie kół bez przewrócenia się. Innej niedzieli udałem się już na pieszo 9 km, aby odprawić Mszę Świętą, przy czym zauważyłem, że najbardziej opuszczonymi wioskami są te, które leżą przy drodze samochodowej. Łatwo do nich dojechać i dlatego nie uwzględnia się tych wspólnot w naszych programach, a „idzie się, gdy w Marolambo jest przynajmniej dwóch ojców”. Taka niedziela bywa bardzo rzadko.

W lutym, marcu i kwietniu odwiedziliśmy wszystkie katolickie wspólnoty należące do naszej misji, a jest ich już siedemdziesiątka. Nie ma z nami urlopującego w Polsce O. Mariana, więc wraz z Ojcem Janem układamy programy obchodów tak, aby możliwie jak najwięcej wiosek odwiedzić. Nieraz odprawialiśmy dwie Msze Święte jednego dnia nocując w większych wioskach i wtedy ludzie uskarżali się, że nie mają możliwości z nami porozmawiać. Wciąż jest nas za mało, ale uważamy, że Msza Święta jest dla nich najważniejszą. Uczyć może katecheta i pod jego kierunkiem mogą modlić się w niedzielę. W marcu odbyłem najdłuższy do tej pory obchód misyjny (17 dni, 260 km) zachodząc daleko w sektor Ojca Jana i odwiedzając dwie nowe wioski położone najdalej na południe od naszej misji. Byłem tylko o trzy godziny drogi do misji w sąsiedniej diecezji.

Są to dwie wspólnoty „martwe, które ożyły”. Ludzie ci dokładali bardzo widocznych starań, aby godnie mnie przyjąć. Chociaż na wzór ewangelicznej Marty przesadzali, na przykład kładąc dwa materace na łóżko (moskieterę i koc miałem w swoim bagażu, gdyż tych rzeczy misjonarzowi nie dają). Ale nawet zbudowali „most z poręczami”, abym mógł przejść przez wezbraną rzeczkę. Ścięli dwa drzewa robiąc z nich kładkę, wbili w lewy i prawy brzeg inne drzewka, które wygięły się pałakowato i służyły za poręcze. Bez pomocy towarzyszącego mi katechety i tragarza nie dałbym rady przejść przez taki most. Ja czekałem przez 40 minut, a w tym czasie inni podróżni przechodzili w wodzie powyżej pasa, więc i ja mógłbym też przejść.

Podczas tego obchodu miałem małą przygodę z bólem reumatycznym nogi. Powodem było najzwyczajniejsze lenistwo. Spałem w śpiworze, pomimo tego 4-ej rano obudziłem się zmarznięty i nie chciało mi się założyć spodni. Tego dnia szedłem ponad 3 godziny. W pewnej chwili musiałem przystanąć na pół godziny. Na szczęście, doszedłem do centrum i w domu misjonarza wygrzałem się dzięki dodatkowym kocom i wygodnemu łóżku z materacem. Na drugi dzień nie miałem już problemów z marszem. A mówiono mi, że będę w tropiku i będzie mi zawsze bardzo gorąco.

Kilka godzin przed moim powrotem do domu wyruszył także w dłuższy obchód misyjny Ojciec Jan i odwiedził wioski leżące w sektorze urlopującego O. Mariana. Ja nie pozostałem dłużny i też wyszedłem z domu kilka godzin przed powrotem O. Jana. Tym razem odwiedziłem wspólnoty w sektorze północnym zatrzymując się w dwóch nowych wioskach. W trzeciej z kolei wiosce zobaczyłem nowy kościół, a ludzie byli już przygotowani do uczestniczenia we Mszy Świętej. Przez pięć kolejnych niedziel katecheta z sąsiedniej wioski przychodził tu uczyć śpiewać. Jako ciekawostkę podam, że w tym kościele po raz pierwszy w życiu odprawiałem Mszę Świętą stojąc... bokiem do ludzi. Zgorszenie dla liturgistów? Wyobraźcie sobie kościół o wymiarach 3x5 metrów i w nim pięćdziesiąt osób siedzących także na ławkach, dzieci siedziały na podłodze w kącie pomiędzy ołtarzem, a ścianą. Z drugiej strony ołtarza stojącego przy ścianie było krzesło dla mnie i z trudem stałem przy ołtarzu o wymiarach 60x80 cm. Z powodu ławek nie dało się odsunąć ołtarza-stołu od ściany ani ja nie zmieściłbym się między ludźmi, a ołtarzem. Na szczęście tylko trzy osoby przystępowały do Komunii Świętej: tragarz, który nie od razu powrócił do domu, katecheta wprowadzający tych ludzi w liturgię Mszy Świętej, i pewien starzec, który dotychczas zawsze przychodził do sąsiednich wiosek, a nieraz szedł ze mną do kilku wiosek, nawet bardzo odległych. Na wzmiankę zasługuje umiejętność katechety. Specjalista, który potrafi czytać, ale nie umie pisać. Wieczorem młodzież urządziła wielkie przedstawienie. W kościele tańczyli do melodii i słów pieśni religijnych, nawet do stałych części Mszy Świętej, jak „Chwała na wysokości Bogu”, czy też „Święty, Święty, Święty Pan”.

Przed wysłaniem programu do tej części mojego sektora poinformowano mnie, że znajduje się jeszcze jedna wioska, której mieszkańcy chcieliby mnie przyjąć. Nazwę wpisałem do programu, ale na bardzo dokładnej naszej mapie nie znalazłem wioski zwanej Ampasimbola. Taka wioska jest po drugiej stronie rzeki Mangoro na terenie misji w Ilaka. Tydzień przed obchodem misyjnym rozmawiałem z jednym z misjonarzy z tamtej misji, który wcale nie zazdrościł mi zaproszenia nawet, gdyby to była wioska w jego sektorze. Okazało się, że taka wioska istnieje. Z powodu deszczu wybrałem drogę dalszą o 5 km. Raz przechodziłem strumyk po szyję w wodzie idąc na palcach, a katecheta z mostku informował mnie, gdzie na dnie są niebezpieczne kamienie. Udało się. Drugi raz przejeżdżałem rzekę tratwą z powiązanych bambusów. Przewidziana dla Malgazy na osoby do 50 kg cała tratwa była pod wodą, gdy ja na niej uklęknąłem. Po czterech godzinach (zamiast po dwóch lub dwóch i pół) doszedłem do szpitala w wiosce, w której miałem przyjść na drugi dzień. Pielęgniarka dała mi kawy i owoce. Orzeźwiony szedłem do celu jeszcze przez godzinę. Częstymi przeszkodami były zapory na ścieżkach dla bydła, niektóre skomplikowane konstrukcje zabierały dużo czasu na ich pokonanie. Wchodząc do wioski ujrzałem malgaską kuźnię. Piec stał pod zadaszaniem, ale żar był podsycany powietrzem doprowadzanym kanałami w ziemi z dwóch miechów, w których ludzie podnosili tłoki. Podczas Mszy Świętej jednej osobie (katechecie, który przyniósł moje rzeczy) udzieliłem Komunii Świętej i 22 osoby przyjąłem do katechumenatu. Ale już wszyscy ładnie śpiewali i prawidłowo uczestniczyli we Mszy Świętej pouczeni przez katechetę, który odwiedził ich pięciokrotnie. Kościoła nie mają, ale w wiosce mają sklep, do którego towar donoszą na plecach porterzy (tak nazywamy tragarzy w naszej misjonarsko-polskiej gwarze) maszerujący z hurtowni w Mahanoro przez cztery dni. Nic dziwnego, że cukru tu nie ma. Każdy używa słodką wodę, w której wygotował trzcinę cukrową.

Na drugi dzień powróciłem do wioski ze szpitalem, w którym pielęgniarka poczęstowała mnie kawą. Tym razem dała mi obiad i dopiero potem poszedłem do domu Prezydenta Rady Parafialnej. Przed domem była ubrana brama powitalna. Po przywitaniu przespałem się, zanim zacząłem spowiadać nieliczne tu osoby przystępujące do Komunii Świętej. Ubawił mnie widok „około trzech belek”. Pokazując je szef wioski z radością mnie poinformował, że są one przeznaczone na nowy kościół. Jeśli w takim tempie będą gromadzić materiał, nieprędko doczekam się poświęcenia tego kościoła. Ale o tym wolno mi myśleć, nie wolno mi tych

sposrożeń wypowiadać. Jedną z dziwnych spraw jest zaangażowanie się pielęgniarki w życie tej wspólnoty katolickiej. Bez niej nikt nie śpiewa. Ona podtrzymuje niedzielne modlitwy bez księdza. I nie byłoby w tym nic dziwnego gdyż takich gorliwych ludzi świeckich jest dużo w wielu wioskach, gdyby nie fakt, że ona jest anglikanką i nie chce przystąpić do Kościoła Katolickiego. Modli się z katolikami, gdyż w pobliżu nie ma wspólnoty anglikańskiej. Mimo wszystko, należy ją szanować. I dziękuję Panu Bogu, że nie ja będę kiedyś sądził.

Drugą wioską, w której nocowałem po raz pierwszy, była wioska „Pana Młodego”. Podczas wesela uświadomił sobie, że niechrześcijanie mogą mieć okazję zobaczenia, jak modlą się katolicy. Dlatego wracając z ostatniej wioski w sobotę przed Niedzielą Palmową zatrzymałem się u niego na nocleg. Po południu odprawiłem dodatkową Mszę Świętą w jego domu już przyozdobionym prawdziwymi palmami. Na Mszę Świętą przybyła jego liczna rodzina idąc nawet 30 km z Marolambo. Do domu powróciłem jeszcze w Niedzielę Palmową. W tej wiosce nie odprawiłem Mszy Świętej. Wszyscy przeszliśmy 5 km do misji centralnej w tym sektorze. W kościele niemal nie widziałem ludzi pod gęstą zielenią palmowych gałęzi, krzyży zrobionych z liści rafii albo pod powiewającymi gałęziami innych drzew. Po Mszy Świętej przeszedłem jeszcze 25 km i przed wieczorem znalazłem się w domu.

Wielki Tydzień spędziłem sam w Marolambo. Ale pracy nie miałem wiele. Młodzież i starsi przygotowali kościół i liturgię, katecheta przećwiczył ceremonie i do mnie należało tylko odprawianie. W Wielką Sobotę ochrzciłem troje małych dzieci. Młodzież przyniosła wodę do poświęcenia w oryginalnych bambusach. W Wielkanoc trzech młodzieńców poprosiło o medalik, czyli przyjęcie do katechumenatu. Za dwa lata, jak dobrze pójdzie, będą ochrzczeni.

Obecnie kończę już ten list słuchając śpiewów dochodzących z kościoła, w którym młodzież prezentuje parafianom i gościom przygotowane przedstawienie. Do moich obowiązków będzie należało wyłączenie generatora prądu, gdy wyjdą z kościoła. Innym dopełnionym już obowiązkiem obecnego w domu misjonarza jest karmienie inwentarza dwunożnego czyli kur i czteronożnego, czyli królików, psa i kotów. Niespodziewanie stałem się propagatorem... hodowli królików. Po całorocznych niepowodzeniach dochowaliśmy się większej ilości małych, które w nowych klatkach przenośnych nie zdychają, nie są zjadane przez szczury, zaś królice przestały pożerać lub zagryzać małe już pierwszej nocy. I nawet nie wiem, co takiego zrobiliśmy, aby wreszcie cieszyć się prawdziwym sukcesem. Staramy się sprowadzać samce „z innego gniazda” co dwa lata w celu zapobiegania degeneracji. Marzymy o tym, aby hodowla królików stała się powszechna w tej okolicy.

W Lany Poniedziałek z pewnością nikt nie przyszedłby na ranną Mszę Świętą, wszyscy udają się na tradycyjny piknik. Ja spokojnie zajmę się pakowaniem walizki na urlop w oczekiwaniu Ojca Jana, który powraca z bardzo dalekiej wioski, idąc 5 godzin w Wielkanoc i 8 godzin w Wielkanocny Poniedziałek. Wieczorem odprawimy razem Mszę Świętą. We wtorek jedziemy do Ambinanindrano. Wielkanoc po polsku będziemy świętowali w środę. W sobotę jedziemy do Mahanoro i następnego dnia, w Niedzielę Przewodnią udamy się dalej, do Tamatawy, aby wziąć udział w dorocznym zebraniu księży. Zaś w czwartek, dnia 3 maja, samolot wystartuje z Tananarywy, aby mnie i moją walizkę dostarczyć do Paryża. Czujemy się tutaj potrzebni wobec wciąż nielicznych powołań kapłańskich i zakonnych wśród Malgaszów. Przed tysiącem lat było podobnie w Polsce. Do nas też kiedyś przynieśli Dobra Nowinę i sprawowali Najświętszą Ofiarę kapłani, którzy opuścili swoją Ojczyznę. Teraz my spłacamy dług wdzięczności wobec Kościoła, który do nas tych misjonarzy przysłał. Oddalony o tysiące kilometrów nie czuję się samotny dzięki poczcie doręczającej mi liczne listy, ale cieszę się z perspektywy odwiedzenia najbliższych, rodziny i przyjaciół, spotkań w parafiach. Moja radość jest tym większa, że będzie to mój pierwszy urlop po blisko czterech latach spędzonych poza Polską. Będę też miał okazję zobaczyć zaszłe zmiany i usłyszeć nowości w życiu codziennym, które teraz znam jedynie z listów lub radia słuchanego po francusku. Urlop powinien być nie tylko czasem wypoczynku, ale też radości, której źródłem jest przebywanie w Ojczyźnie, wśród Rodaków.

I tą refleksją kończę mój list. Przez pięć miesięcy będę przebywał poza moim domem na Madagaskarze. Listy, które nadejdą po Wielkanocy, będą leżały nieotwarte na misji w Marolambo aż do mego powrotu w końcu września. Spodziewam się, że jutro zostaną dowieszone ostatnie listy. Od trzech tygodni nikt nie przyjechał z Ambinanindrano, więc w tamtejszej placówce pocztowej z całą pewnością są odpowiedzi na moje listy wysłane na początku lutego, także dotyczące mojego urlopu. Mam nadzieję, że z licznymi moimi Korespondentami spotkam się osobiście w Europie.

*Z serdecznym pozdrowieniem
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Dobrze, że nie napisałem dowcipu, bo lepszy mi urządził Madagaskar. Moja podróż z Marolambo do samolotu odlatującego wraz ze mną z Antananarywy do Paryża jest prawdziwą epopeją. Planowo wyjechaliśmy z Marolambo we wtorek o godz. 7-ej i po sześciu godzinach powitał nas współbrat w Ambinanindrano. Mieliśmy wyjechać do Mahanoro dopiero w sobotę, ale doszła nas wiadomość, że w piątek rano prom na rzece Mangoro odjeżdża obsługiwać inną przeprawę, więc już w czwartek rano wyjechaliśmy z naszej misji w Amninanindrano. Zajechaliśmy za późno. Prom odpłynął w czwartek rano. Ja przepравиłem się pirogą, towarzyszący mi wziął moją walizkę, ja niosłem swój bagaż podręczny w torbie i wieczorem doszliśmy do misji Marotsiriry bez uprzedzenia. Dostałem kolację i pokój. Rano Malgasz wziął mój bagaż, ja zaś wyruszyłem na pieszo do misji w Mahanoro, to tylko 20 km. Po przejściu ośmiu kilometrów syn jednego ze sklepikarzy usadowił mnie na bagażniku motoroweru (kupionego od misjonarzy z Mahanoro) i powiózł na misję. Trzy godziny później dotarła także moja walizka, ale nie było wielkiej nadziei na dotarcie do Tamatawy przed niedzielą. Prom na rzece odległej od Mahanoro o 32 km nie kursował, gdyż zepsuła się śruba napędowa. Miano zreperować. Linie lotniczą do Tamatawy obsługiwał samolocik, który mógł zabrać tylko czterech pasażerów, ale miejsca były już dawno zajęte. Czekałem przez cały piątek, sobotę i niedzielę.

Nagle w poniedziałkowy poranek powiedziano mi, że jest samochód, który zawiezie brakującą część do promu i może mnie zabrać. Usiadłem na krzeselku postawionym na skrzyni małego samochodu przygotowany na kilkugodzinną podróż w słońcu. Ale dojechałem tylko do warsztatu i miałem okazję podziwiać, jak pięciu ludzi dorabiało klin przytrzymujący wiatrak na osi: jeden mierzył, drugi trzymał zdarty klin, trzeci przyglądał się, czwarty nadzorował, piąty udzielał rad... Wreszcie po czterech godzinach klin był prawie gotowy, gdy zatrzymał się samochód wiozący 60 pasażerów do Tamatawy. Mnie poradzono też się zabrać wskazując mi miejsce w szoferce na ławeczce za maską okrywającą silnik. Z niedomkniętego pojemnika ropa wylewała mi się na stopy, jeszcze bez skarpetek, jeszcze w plastikowych sandałach. Po 30 km kierowca tak ułożył bagaże, że mogłem usiąść skierowany nogami w drugą stronę, więc ropa przestała mi zraszać nogi. Poza tym już można było ją wlać do zbiornika samochodu. Prom zreperowano w 10 minut od chwili dostarczenia dorobionego klina, ale my byliśmy w dalszej kolejności i dopiero o 8-ej wieczorem dojechaliśmy do Vatomandry. Na misji dano mi kolację i pokój do spania. O 5-ej rano brat zakonny podał mi śniadanie. Nieco później przyjechał po mnie samochód, więc znów wsiadłem do szoferki. Podziwiałem zdolności kierowcy, który pomimo dziury w oponie zdołał dojechać bez wypadku, chociaż często oglądał się do tyłu ufając, że w tym czasie z naprzeciwka zza zakrętu żaden samochód nie wyjedzie. Ostatnie 5 km przejechał na jednym z bliźniaczych kół. Wytrzebiła dętka, a opona też spadła z koła. O 15-ej znalazłem się w Tamatawie i z „dworca autobusowego” czyli ulicy taksówką pojechałem na Biskupstwo.

Tutaj przyjęto mnie z okrzykami radości jako pierwszego kapłana z południa diecezji, który dotarł. Ksiądz Biskup i kapłani powracali właśnie z ostatniego spotkania drugiego dnia zebrania wszystkich księży. Humoru nie brakowało. Ale ja myślałem jeszcze o dotarciu do stolicy. W środę rano powiedziano mi, że mam pierwszeństwo na miejsce w samolocie wieczorem. Pojechałem na lotnisko i wkrótce przyjechali do mnie dwaj pozostali przed rzeką Mangoro współbracia, aby się ze mną pożegnać. Zdążyli, więc mogliśmy coś sobie powiedzieć przed odlotem. Wkrótce okazało się, że urzędnicy sprzedali 106 biletów na 100 miejsc i nawet 6 innych osób musiało powrócić do domu. W czwartek wieczorem odleciałem bez problemów i w piątek przed południem zdążyłem wskoczyć do Ambasady Niemieckiej po wizę. Podanie napisałem jeszcze w styczniu, więc byłem pewny, że bez problemów wizę otrzymam. Niestety, mojego podania nie doręczono i bez wizy powróciłem do Sekretariatu Episkopatu Malgaskiego. Tu napisałem ten dopisek do listu wspólnego, który skserowany włożę do walizki i dołączę do listów powielonych jeszcze w Wielkanoc w Marolambo. Wyślę już w Europie. Niestety, nie zdążyłem się przespać ani wykapać. Ważne, że w ogóle zdążyłem przylecieć do stolicy przed odlotem samolotu do Paryża.

O samej podróży opowiem Wam osobiście, albo przeczytacie w moim pierwszym liście po urlopie.

* * * * *